

**Jesteśmy jako oliwki,
dopiero gdy nas miażdżą,
wydajemy z siebie
to, co najlepsze...**

1. Garstka wybrańców, która uczestniczyła w „Urodzinach Bohumila Hrabala” liczyła niespełna trzydzieści osób: reprezentacja lubelskich gazet, paru przyjaciół Teatru „NN”, który imprezę przygotował i kilkanaście osób, dla których Hrabal był wyborem świadomym. W zasadzie tych, którzy przyszli, wolno uważać za intelektualistów, bądź tych, których umysły nie do końca zostały sprywatyzowane. Zakładając, że promocja dni hrabalowskich nie należała do udanych, można przypuszczać, że dałoby się zgromadzić komplet publiczności w 150-osobowej sali lubelskiego „Centrum Kultury”. W czterystutysięcznym mieście dwóch uniwersytetów i paru jeszcze uczelni oraz kilku dobrych gimnazjów...

2. O spotkaniach z Hrabalem można było się dowiedzieć z ulotek rozklejonych tu i tam, które ginęły w płach-

4. W ramach spotkań z Hrabalem zwiedziliśmy browar, położony na włościach Vetterów. Żeby dostać się do królestwa kiperów, trzeba zejść do klasztornych podziemi. Kiedyś robiono tu remont, z za ceglanej ściany wysypały się kości mnicha wielkiej budowy. Dziś pracują tu najnowsze maszyny, napełniając lśniące kegi smakowitym napojem. Dębowe beczki wyparte zostały przez najnowszą technologię: metalowe i lśniące naczynie cylindryczne, z którego pierwszy i ostatni kufel — zawsze będą takie same.

Kiedy wyszliśmy z podziemi, dyrektor zaprosił nas na piwo z kegi. Potoczyła się rozmowa o browarze, prywatyzacji, spadkobiercach Vetterów, a duch piwowara z „Postrzyżyn” krążył między nami. Piwo z „Vettera” było wyborne, a mnie zdawało się, że praca w podziemiach klasztoru tak trudna i „mokra” przenosi ludzi w nieskończony obszar marzenia i wolności. Gdzie niebo gwiazdziste nad nami, a zakon moralny w nas...

5. Po królestwie browaru był kolejny film wedle Hrabala, pod znamienym tytułem „Skowronki na uwieżi”. Ponury obraz komunistycznego obozu pracy, zbudowa-

Po co nam Hrabal i browary?

tach afiszów imprez bardziej masowych. O Hrabalu można by posłuchać w którejś z lubelskich radiostacji, raczej z tych mniejszych, bo większe bywają jeno na imprezach prestiżowych. Hrabala można by zobaczyć w telewizji prowincjonalnej, ale ta zależna się prywatyzuje i na kulturę miejsca nie za wiele (w porze oglądalności rzecz jasna). Niezależną sprywatyzowali Włosi i nie bardzo da się przełknąć zniewoloną Isaurę z wolnym Hrabalem. O Hrabalu można by przeczytać wreszcie w prasie, która mimo, że sprywatyzowana, czasem wartości kulturalnych dotknie. Gdy wszystko wokół się sprywatyzowało, zasadniczym pytaniem w „sprzedawaniu” wartości staje się pytanie z ekonomii sklepikowej: kto kupi Hrabala?

Więc po co Hrabal?

3. Ano po to, że warto zobaczyć „Postrzyżyny”. Film o urodzie jedzenia, kochania się i wolności. Polacy zawsze na sąsiadów zza gór spoglądali z ironią. Nie dość, że język taki śmieszny i niepoważny, to jeszcze filmy, w których nie wiadomo o co chodzi. Bo u nas, jak nie „Człowiek z marmuru” to po raz któryś „Popioły”, jak nie popioły to „Klejnot w koronie”. A u „pepików” w zniewolonym kraju film o radości. Na przykład radości wielkiego żarcia. Popijanego popowickim piwem. Poezja wieprzowiny tuż po uboju: chrupiących krupnioków, salcesonu i pieczonego karczku. I znów chłodnego piwa.

Zobaczyliśmy film. I jakoś nam się głupio zrobiło. Ześmy tacy poważni, tak zapięci w surduty obyczajów i żakiety bizneswomen. Sztynni tak, że nie potrafimy napić się piwa z beczki, tylko sączymy wermuty i brandy z sodową.

nego na głębokim odludziu, zamienionym na gigantyczny śmietnik. Z filmu utkwiły mi w pamięci słowa o czasie, kiedy w Paryżu kapitaliści będą sprzątać ulice, a klasa robotnicza będzie ich kopać w dupę, oraz przekonanie, że system, którego się pozbyliśmy, był wyjątkowo wrednym systemem. Tylko, czy pozbyliśmy się go na zawsze?

6. Ukoronowaniem hrabalowych dni było przedstawienie Henryka Sobiecharta pt. „Zbyt głośna samotność”. Bohater żyje w piwnicznym świecie, w którym zamontowano ogromną prasę, która miele książki. Żyje sam. W jego myślach jest nieskończoność i wieczność. Świat zaludniony myślami graniczy z podziemnym światem ścieków, gdzie bulgot fekaliiów i pisk szczurów są jedyną ozdobą. W tym świecie, gdzie książki są tak samo zbędne jak tony fekaliiów, jest miejsce na miłość do Maniusi. Tym miejscem jest serce. Do serca zagląda młodzieniec imieniem Jezus, który nie dość, że dobrze gra w tenisa, to jeszcze jest romantykiem. Chce zmienić świat i jest inny od starych myślicieli, którzy tylko bezradnie rozglądają się dookoła. Ale kiedy Jezus odchodzi po białych schodach, co zostaje bohaterowi? Skrawek splamionej sukienki, pozostałość po ukochanej i wiara, że niebo gwiazdziste nade mną, a zakon moralny we mnie... Zbyt głośna samotność.

„Jesteśmy jako oliwki, dopiero gdy nas miażdżą wydajemy z siebie to, co najlepsze” — to słowa, które chyba najmocniej zapadają w pamięć z tego przedstawienia. Jest ono jeszcze surowe, nie do końca ustawiono może światła, ale Henryk Sobiechart taki, jak niegdyś w „Iwanowie” Czechowa. Raz drapieżny, raz wyciszony, po mistrzowsku budujący półtoragodzinną opowieść. Składającą się z klasy aktora i duchowej satysfakcji po stronie widza — tej grupki, o której było na początku. Która jeszcze wierzy, że potrzebny jest Hrabal i potrzebne są browary... ■

WALDEMAR SULISZ